Nr. 42. Rok I.



NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

Cena prenumeraty:
kwartalnie w miejscu 15 sbr., na prowincji 18 sbr. 9 fen., w Krakowie i Lwowie 1 zltr. 20 c., w Galicji i w innych krajach austrjackich 1 zlr. 40 c.

Poznań, 12 Października 1871

Redakcja
przy ulicy Fryderykowskiéj Nr. 27.
Ajencje:
Lwów: Milikowski, Gubrynowicz i Schmidt
Kraków: Friedlein, Józef Czech.

OD REDAKCJI.

Szanownym Abonentom naszym przypominamy, iż otworzyliśmy przedpłatę na **Dzieło zbiorowe** na pamiątkę stuletniéj rocznicy pierwszego rozbioru Polski.

W skład książki téj wejdą artykuły najznakomitszych autorów, z wszelkich gałęzi piśmiennictwa naszego jako dowód niespożytéj żywotności polskiego narodu, który pomimo stu lat niewoli tak na polu literatury jak sztuki podąża za ogólnym postępem.

Cena dzieła zbiorowego wynosi 4 tal., dla prenumeratorów Tygodnika tylko dwa talary. Po wydrukowaniu zaś znacznie ona podwyższoną będzie.

Dla zobopólnéj kontroli nazwiska przedpłacicieli tak w Dzienniku Poznańskim, jak w Tygodniku Wielkopolskim i na czele samegoż dzieła umieszczane będą.

Od ilości prenumeratorów zależeć będzie ozdobność wydania téj prawdziwéj dla każdéj polskiéj rodziny pamiątki.

Przedpłatę przyjmuje redakcja Tygodnika Wielkopolskiego aż do dnia 1go stycznia 1872 roku.

Szanownych Czytelników pisma naszego prosimy w tym celu o zachowanie kwitów prenumeracyjnych.

Edmund Callier.

TEORJE POLITYCZNE XVI WIEKU

skreślił

Dr. W. M. Olendzki.

II.

Teorje stronnictwa katolickiego i pamfleta Jezuitów.

(Ciąg dalszy.)

Wracamy do traktowania 2 punktu, t. j. do pytania, czy prawodawca jest poddany swym własnym ustawom?

Suarez mówi, iżby można odpowiedzieć negatywnie, ponieważ: 1) Panujący jest wolny od wszelkiego posłuszeństwa; 2) Panujący nie może zobowiązywać samego siebie, nie mając zaś wyższych nad siebie, nie może być zobowiązywanym przez drugich. — Opinja jednak szkoły jest inną: Panujący poddany jest własnym prawom, jeżeli te mają naturę ogólną, należy jednak i tu robić wyjątki i rozróżnić władzę kierującą czynnościami poddanych (vis directiva) i władzę karzącą postępki nieprawne (vis coactiva). Panujący winien wypełniać swe prawa, lecz nie może być do tego zmuszony, to jest ulega on vis directiva, nie będąc podległym vis coactiva, będąc bowiem sam zasadą zmuszającą i karzącą, zmuszanym być nie może. Co do poddania panującego swym własnym prawom z vis directiva na mocy hypotetycznego paktu, to Suarez zgadza się z teorją szkoły, dodając, iż zobowiązanie i poddanie to pochodzi z woli Boga. Co zaś do zmuszania i karania panującego z vis coactiva, to faktycznie pociągać panującego do odpowiedzialności nie można, z prawa jednak jest on odpowiedzialnym przed Bogiem i... przedstawicielem Jego na ziemi, sędzią duchownym! — Teorja ta uchyla się od wszelkich komentarzy ze stanowiska dzisiejszego prawa publicznego.

Suarez wspomina jeszcze o władzy unieważniającéj zawarte umowy, jeżeli formalności nie zostały dopełnione, od téj jednak vis irritans panujący jest wolny, przypuszcza się bowiem, iż sam od formalności dyspensować się może.

Na zakończenie wspomnieć należy o zapatrywaniach się Suareza na stosunek stolicy apolskiéj do państwa. Papież, mówi on, nie jest zwierzchnikiem świata, lecz tylko swego własnego kraju, gdzie rządzi jak każden inny panujący.

W rzeczy doczesne mięsza się papież tylko w interesie porządku duchowego. Ponieważ zaś państwo istnieje niezawiśle od wiary, obyczajów panującego i łaski, to trzeba rozróżnić stosunek papieża do panujących niewiernych i do panujących heretyków.

Pierwszych niema kościół prawa pozbawiać tronu, lecz tylko wypowiadać im wojnę, jeżeli mieszkający w ich państwie chrześcijanie są uciskani. Drugich kościół winien sądzić i składać z tronu.

W spory ludu z panującym kościół mięsza się tylko wtedy, jeżeli uzna iż panujący posiada władzę nieprawnie i wykonywa ją po tyrańsku[1]).

§ XXIII.

Drugim przedstawicielem szkoły jest Bellarmin[2]). Dzieło jego: „De summo pontifice — capite totius militantis Ecclesiae“ (1586) traktuje specjalnie stosunk władzy papieskiéj. Nas zajmować będą tylko kwestje o formach państwa i stosunku władzy świeckiéj do duchownéj.

Teorje Bellarmina ciekawe nie są bynajmniéj, w ostatecznych celach styka się zawsze z Suarezem, ztąd też uwag nad nim robić nie będziemy, a podamy tylko czytelnikom najgłówniejsze punkta.

Co do form państwa, to Bellarmin stawia trzy tezy, które następnie bliżéj rozbiera:

1. Czysto monarchiczna forma jest lepszą od czysto arystokratycznéj lub demokratycznéj.
2. Monarchja pomięszana z elementami arystokratycznym i demokratycznym jest lepszą jak czysta monarchja.
3. W saméj sobie czysta monarchja jest najlepszą formą.

Oprócz zdań licznych powag na których się Bellarmin podobnie jak Suarez opiera, stawia on własną dedukcję: „Porządek i jedność, siła i trwałość są warunkami trwałości bytu społecznego, władza jest konieczną, warunki zaś powyższe lepiéj zapewni władza monarchiczna niż każda inna.“ Porządek, mówi on daléj, jest to zależność hierarchiczna klas, zwierzchność wyższych nad niższymi, szacunek dla władzy, skorość w posłuszeństwie; wszystko zaś to najlepiéj da się utrwalić jeżeli posłuszeństwo jest ogólne, a władza jednego strzeże prawa każdego i zawisłości wszystkich. „Jedność daje trwałość i siłę, trwałym zaś jest najbardziéj to państwo, gdzie rząd jest najmniéj podzielony, jedność zatém jest rękojmią trwałości i siły, jako zasada zgody i porządku.“

Rezonowaniu temu trudno odmówić siły i głębokości, żałować tylko należy, iż w ówczesnych czasach rozprzężenia politycznego wpływ jego mógł być tylko albo żaden, albo zły. Żaden, ponieważ stosować go niebyło komu, zły, ponieważ jedni tylko zastosowywać go mogli Jezuici.

Jakkolwiek forma czysto monarchiczna jest najlepszą, to jednak, mówi Bellarmin, czasami lepszą jest monarchja mięszana.

Jakąż jest ta mięszana monarchja podług Bellarmina?

„U góry monarcha niezawisły, niezależny od nikogo, rozkazujący wszystkim; pod nim dygnitarze zawiśli tylko od niego i rozkazujący reszcie jak on sam, nakoniec lud posłuszny, niebiorący w niczém udziału.“

Taką jest ta monarchja mięszana Bellarmina, rola jaką tam odgrywa arystokracja dygnitarzy-sług i demokracja ludu-zera (z którego rekrutują się arystokraci) nie jest bynajmniéj służącą do miarkowania władzy jednego za pomocą podziału władz — lecz do ułatwienia wykonywania samowoli jednego, który przecież wszystkiego sam robić nie może. Jest to zatém nie monarchja mięszana, lecz czysty despotyzm.

Cóż Bellarmin nazywa czystą monarchją zapytamy? „Wszechwładzę rządu Boga na ziemi!“

---

[1]) Suarez de Leg. Lib. III, cap. X, 7.
W ogóle księgi I, II, III i V dotyczą kwestji politycznych.

[2]) Robert Bellarmino ur. w Montepulciano r. 1542. W 18 roku życia zostaje Jezuitą. Najznakomitsze jego dzieło, obejmujące inne, „Disputationes de controversis fidei“, wyszło w Ingolstadt 1586 r. W 4 lata potem weszło na Index, lecz ten wkrótce po śmierci Syxtusa V zdjęty został. Jedno z dzieł jego: „De officio principis christiani“ wydane w 1619 r. Antwerpja przypisane jest w rodzaju przestrogi lub nauki królowi polskiemu Władysławowi IV. — W r. 1598 zostaje Bellarmin kardynałem, w 1602 arcybiskupem Kapui. Umarł w r. 1621. Zbiór dzieł jego wyszedł w 7 tomach in folio w Kolonji 1620 r.

Przewrotniejszą jest jeszcze teorja jego o stosunku władzy papiezkiéj do władzy doczesnéj.

Wyprowadzając początek państwa podobnie jak Suarez, nie z prawa bożego, nie z wiary i łaski, lecz z prawa natury i potrzeby ludzkiéj (non ex jure divino sed ex jure gentium), nie waha się bynajmniéj nasz autor twierdzić, iż kościół nie dostał miecza świeckiego, że papież nie jest następcą Chrystusa-Boga, lecz Chrystusa-człowieka, który nie posiadał władzy doczesnéj ani z sukcesji, ani z wyboru, ani z nadania, ani téż ze zdobyczy, że zatém papież nie przejąwszy tych praw po Chrystusie, w rzeczy polityczne mięszać się nie może.

Po takim wystąpieniu należałoby sądzić, iż Bellarmin jest przeciwnikiem władzy papieskiéj — sąd jednak taki byłby mylnym. — Wszystko bowiem dotąd powiedziane obala Bellarmin w dalszym rezonowaniu na podstawie téj znanéj metody scholastycznéj polegającéj na przyznaniu racji argumentom przeciwników, następnie zaś obalenia ich gładko i spokojnie wystawieniem wyjątków.

Papież niema prawa, mówił Bellarmin, mięszania się w sprawy świeckie bezpośrednio — teraz dodaje, iż mięszanie to może mieć miejsce pośrednio, jak skoro interesa duchowne koniecznie tego wymagają. Konieczność uznaje papież i mięsza się kiedy uzna za stosowne. Papież, mówi on w innym miejscu, niema nad panującymi téj władzy, co nad biskupami, lecz dla dobra kościoła i zbawienia dusz może on odebrać tron jednemu panującemu, aby go nadać drugiemu. Papież nie tworzy praw, lecz w razie potrzeby i dla zbawienia dusz, może on ogłosić nowe prawo, lub też skasować już exystujące jako przeciwne kościołowi i religji. Papież niema prawa sądów nad poddanymi różnych państw, lecz jeżeli rzecz idzie o zbawienie duszy, to może on powołać strony przed siebie i rozstrzygać w najwyższéj instancji.

Nic więcéj tu nadmienić nam nie potrzeba, jak tylko, iż teorja Bellarmina jest echem najwybujalszych pretensji, jakie papieztwo kiedykolwiek objawiało. — Grzegorz VII, Innocenty III, Grzegorz IX i Innocenty IV nigdy więcéj nie żądali, jak tylko aby pozór interesów kościoła mógł ich upoważniać do mięszania się w sprawy państwa tak często, jak im tylko było potrzeba.

W ogóle tak Bellarmin jak Suarez głoszą tém niebezpieczniejsze nauki, iż są pokryte wielkim umiarkowaniem i głęboko-naukową formą, szukać jednak u nich sumiennie obmyślonych zasad zdolnych kierować życiem publiczném jest rzeczą próżną, cel ich jest haniebny: zmącić życie publiczne, podminować państwo, naturalnie ad majorem Dei gloriam. Wszechwładca lud, lub wszechwładca król mają czerpać swe prawa ze źródła, którego strzeże kościół i w miarę potrzeby podaje zdrowy napój, narkotyk lub truciznę. Prawo jest poddane polityce a tą kieruje kościół, państwo zatém ma do wyboru dwie tylko rzeczy: służyć kościołowi lub upaść.

Po tym wyłożeniu nauki ostatnich 2 przedstawicieli scholastyki i formalnie umiarkowanéj polityki katolickiéj w XVI wieku, zwracamy się do przeglądu tworów literackich, przedstawiających politykę ligi.

Literatura ta nie przedstawia oryginalnéj wartości, źródła bowiem w których czerpie są dzieła stronników młodéj reformacji i pisma teokracji średniowiecznéj, uwzględnienie jéj jednak dla poznania bliższego całéj literatury katolickiéj w XVI wieku jest koniecznie potrzebne [1]).

(Dalszy ciąg nastąpi.)

[1]) Patrz Augustyna Thierry „Considér. sur l'hist. de France“ Cap. I. i już w tym rozdziale cytowane dzieła.

HISTORJA SIWEGO WŁOSA.

Powieść

Władysława Łozińskiego.

(Dalszy ciąg.)

Na bladą twarz hrabiny wystąpił przelotny wyraz radości... Kasa była otwartą...

Adela otworzyła ciężkie drzwi żelazne i drżącemi dłońmi sięgnęła po pęk bankowych asygnat. Odliczyła sześć biletów po tysiąc zł. i szybko, ruchem gorączkowym ukryła je za gorsem...

Jeszcze raz powiodła wzrokiem dokoła i szybko, jakby ją kto ścigał, wybiegła z gabinetu...

Gdy się znalazła w swoim pokoju, oczy jéj spotkały zwierciadło. Hrabina zadrżała przed swoją własną postacią. Twarz jéj była w najwyższém nerwowém rozdraźnieniu, oczy zmieniły się od wyrazu głębokiéj trwogi, a na bladą przed chwilą twarz wystąpiły gorączkowe rumieńce...

Adela rzuciła się na fotel, jakby chciała odpocząć i uspokoić się nieco. W téj chwili jednak powstała znowu, dobyła z biurka klucz jakiś i zarzucając na siebie szal duży wymknęła się z pokoju.

Szybko zeszła po wschodach pałacu a ztamtąd udała się do parku. Przebiegła aleje parku z pospiechem a znalazłszy się przed małą żelazną furtką na samym końcu ogrodu, otworzyła ją kluczem.

Hrabina znalazła się teraz na wiejskiéj drożynie. Okryła głowę bardziéj jeszcze szalem i szybko udała się w stronę ku kościołowi...

Słońce zaszło już było przed półgodziną. Zmrok był już zupełny a z po za pogodnego, nocnego horyzontu wypływała powoli i majestatycznie pełnia księżyca. W blasku jego, na tle drzew rosnących wzdłuż drożyny, w dziwnie fantastyczny sposób odbijała się postać wyniosłéj kobiéty, osłoniętéj ciemną draperją szalu...

Bojąc się nawet oglądnąć, hrabina biegła naprzód, a serce biło jéj gwałtownie od wzburzenia i trwogi. Za chwilę znalazła się w pobliżu kościoła. Tuż o kilkanaście kroków ciągnęła się droga, która okrążając niejako kościół, wpadała potém w znajomą już nam aleję lipową.

Gdy hrabina mijała kościół, aby udać się na wyznaczone w liście Jarskiego miejsce, dał się słyszeć turkot powozu. Adela zadrżała od nagłego lęku i wstrzymała się mimowolnie. Turkot zbliżał się szybko, a powóz dojeżdżał już do hrabiny...

Był to powóz otwarty, zaprzężony czterma pięknemi końmi. Hrabina spojrzała nań i uczuła, że nogi się pod nią łamią i że serce jéj bić przestaje od strasznéj trwogi...

Był to właśnie jenerał, mąż jéj, który wracał do domu. Adela poznała jego powóz i zdało jéj się nawet,

że widzi twarz jego, zwróconą ku niéj, że spotyka się nawet wprost z jego wzrokiem.

Z rozpaczliwym wysiłkiem sił, hrabina skoczyła w bok i stanęła w sklepieniu muru kościelnego, w którém znajdowały się boczne drzwi, wiodące do zakrystji. W natchnieniu trwogi, z którego sobie ani teraz ani nigdy potém nie umiała zdać sprawy, hrabina machinalnie chwyciła za klamkę, cisnąc ją gwałtownie...

Drzwi otwarły się, a hrabina weszła do przedsionka małego, który prowadził do zakrystji. Niesłychane rozdraźnienie nerwowe, w jakiém się znajdowała Adela, tak dalece spotęgowało jéj przestrach, że nieprzytomna, prawie na pół obłąkana, gnana lękiem jakimś nieopisanym, skryła się w ciemny kąt przedsionka za dużą ławkę, która tam stała...

W téj chwili odezwał się głos dzwonka... W przedsionku błysnęło światło i dwie postacie wyszły z zakrystji... Był to ksiądz Andrzéj z kościelnym. Zawezwano pociechy kapłańskiéj dla jakiegoś konającego wieśniaka, a pleban udawał się z przenajświętszym sakramentem do śmiertelnego łoża...

Dzwonek zajęczał żałobnie w przedsionku, ksiądz Andrzéj wyszedł z sługą kościelnym, a drzwi zostały z zewnątrz zamknięte...

Przez długą chwilę hrabina nie mogła przyjść do siebie... Nie zemdlała wprawdzie, ale wszystkie doznane wrażenia tak silnie wstrzęsły całą jéj istotą, wszystkie gorączkowe myśli tak chaotycznie cisnęły się do głowy, że nie miała żadnego jasnego poczucia swéj sytuacji...

Chłód kościelnych murów ocucił ją powoli. Ujrzawszy światło w zakrystji, hrabina wyszła z swego ukrycia. Weszła do zakrystji a czując zupełne osłabienie, usiadła... Cisza, która rozlegała się dokoła niéj, a która w takiém miejscu nabierała dziwnie uroczystéj cechy, jeźli nie zdołała usunąć zupełnie trwogi i wzburzenia hrabiny, to przynajmniéj uspokoiła nieco jéj myśli...

Przyszedłszy tak nieco do siebie Adela powiodła okiem po murach...

Przez wysokie gotyckie okno padały promienie księżyca i łamiąc się o łuki sklepienia, rzucały stłumione blaski na wnętrze zakrystji. Tuż naprzeciw hrabiny znajdowały się w ścianie trzy pomniki w formie sarkofagów. Były to grobowce trzech kobiét z familji Rokickich, trzech matron, które fundacjami swemi przyczyniły się najwięcéj do wzniesienia i uposażenia świątyni...

Hrabina z głęboką grozą spojrzała na nie... Ledwie jednak wzrok jéj spoczął na pomnikach grobowych, już się od nich oderwać nie mógł... Zdawały się one dziwną jakąś magnetyczną siłą przykuwać do siebie oczy Adeli... Patrzyła na nie z mimowolną uwagą, z uroczystym lękiem...

Na samym szczycie leżał na trumnie czarny marmurowy posąg Izabelli Rokickiéj, wojewodziny olbromskiéj, pani słynącéj w krainie rodzinnéj z sercowéj cnoty i wysokiego ducha, która ojczyznie wychowała trzech synów, co późniéj bohaterskiemi czyny zasłynęli na kartach dziejowych. Tuż pod tym pomnikiem znajdował się drugi Magdaleny Rokickiéj, kasztelanowéj wychowskiéj, znanéj z heroicznego poświęcenia i niezłamanego hartu duszy, który nieopuścił jéj ani chwili, gdy dzielić jéj przyszło cierpienia jassyru wraz z mężem pojmanym przez pogański hufiec. Na samym dole spoczywał pomnik Zofji, starościny kaliskiéj, któréj pamięć kroniki rodu Rokickich otaczały aureolą najpiękniejszéj, najczulszéj miłości małżeńskiéj. Ona to straciwszy dwóch synów w szeregach konfederacji barskiéj, gdy męża jéj Moskale uwieźli do Kaługi, pieszo, bez środków, wśród ostréj zimy dotarła do miejsca wygnania i w powitalnych objęciach zdumionego małżonka oddała ducha, wymówiwszy te szczytne słowa: „Przysięgłam, iż cię nieopuszczę aż do śmierci...“

Słowa te wykute były w marmurze pod sarkofagiem starościny Zofji. „Przysięgłam, iż cię nieopuszczę aż do śmierci!“ — to całe było jéj epitaphium, a czyż można było w krótszych a wymowniejszych słowach zamknąć treść życia i cierpień wiernéj małżonki?...

Wszystkie te trzy zmarłe matrony domu Rokickich oddane były przez rzeźbiarza w ubiorach mniszych, poważnych, prostych i surowych, jak ich życie całe...

Adela patrzała z uczuciem głębokiego szacunku na te trzy postacie z czarnego marmuru... Te matrony w mniszych sukienkach, z obliczami surowemi a pełnemi przytém pogodnéj jakiéjś powagi zdawały się patrzyć na nią karcącym i groźnym wzrokiem. Od tych grobowców zdawało się płynąć nieme zapytanie:

— Niegodna! czyż śmiesz stanąć obok nas i wśród matek zacnego rodu?...

Hrabina z skruchą pochyliła swe blade czoło... Zdało jéj się, że zasługiwała na przekleństwo tych duchów opiekuńczych rodziny, że stała się hańbą tego domu, którego niewiasty otaczała zawsze aureola najsurowszéj cnoty i najczulszego poświęcenia... Padła na kolana i przykładając skroń swą pałającą do zimnéj posadzki kościoła, zaniosła się od gwałtownego łkania... Nagle jednak, jakby ją niezwyciężony jakiś lęk opanował, porwała się szybko i pobiegła ku drzwiom.

Na szczęście drzwi od zakrystji sługa kościelny nie zamknął na klucz za sobą. Hrabina znalazła się na polu, pod jasném, uroczém sklepieniem, rozścielającém gwiaździstą tkaninę nad ziemią, strojną całym wdzięcznym powabem lipcowéj nocy...

Była już przed parkiem, gdy doszedł ją dźwięk smutny dzwonka, który towarzyszył księdzu Andrzejowi w powrocie z świętéj misji kapłańskiéj...

W sam czas powracała Adela, bo jenerał szukał ją i kazał szukać służbie, pełen trwogi i złego przeczucia. Po długiém szukaniu w parku znaleziono hrabinę w jednéj z ustronnych części ogrodu, leżącą na ziemi i omdlałą...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

BALLADA O CZARNYM RYCERZU

(z lasów turyngskich.)

Jedzie rycerz, z giermkiem jedzie
Ciemną nocą pośród gór,
Uśpionego rumak wiedzie
Po bezdrożach w gęsty bór.
Cicho... cicho... na moczarach
Zabłąkany ognik drży,
Wiatr rozbija się w konarach
I rozwiesza blade mgły.

Puchacz jęczy wśród gęstwiny
I szeleści w liściach wąż,
A przez góry, przez doliny
Rycerz jedzie, duma wciąż.
„Hola giermku!... gdzie ta droga?
W któréj stronie zamek nasz?...
W lewo... w prawo jedź, na Boga,
Drogi szukaj, drogę wskaż...“

Jedzie giermek w lewo, w prawo,
Zagubiony szuka tór...
W tył i naprzód pędzi żwawo,
Ciemność wszędzie, wszędzie bór...
„Niema drogi, próżno gonię,
Gdzie prowadzić nie wiem was...
Nie wiem zamek w której stronie...
Ciemność wszędzie, wszędzie las!...“
Wyjechali puszczy zrębem,
Cicho drżący stąpa koń,
Mgła się zewsząd wznosi kłębem,
Zewsząd bagnisk świeci toń!...
„Héj pacholę, zkąd to drżenie?
Zkąd na licu twojém łzy?...
Czy cię dębów straszą cienie,
Czy cię blade straszą mgły?...“
„Panie, panie, widzisz w dali
Wyszczerbiony zębem lat,
Gdzie się drżący ognik pali,
Zbójeckiego zamku ślad?...
Czy słyszałeś?... Tam przed laty
Czarny rycerz gniazdo miał,
Palił wkoło wiejskie chaty
I krwią chłopków pola zlał.
Na kupieckie karawany
Jak zabójczy spadał grom,
W bagnach topił lud zbłąkany,
Krwawą zdobycz woził w dom...
I dziś, piekieł znosząc kary,
Zdradnych czarów dzierży moc
I błądzących na moczary
W księżycową wodzi noc...
Panie, panie... wiatr się sroży,
Puchacz jęczy tak wśród drzew...
By opieki błagać bożej,
Modlitewny wznieśmy śpiew...“
„Milcz pacholę!... precz pacierze
I niewieście trwogi precz!...
Baśniom twoim nie uwierzę
Przeciw piekłu wzniosę miecz...“
Jadą, gonią w las i w góry,
W lewo, w prawo, naprzód, w tył,...
Niebem gęste pędzą chmury,
Blady księżyc obłok skrył.
Dęby zgina wicher srogi
I tumanem liście gna...
Niema drogi, niema drogi...
Ciemność wszędzie, wszędzie mgła!...
„Panie, panie... słyszysz w lesie
Trzask gałęzi, kopyt grzmot?...
Słyszysz?... Tentent echo niesie,
To rumaka szybki lot!...
Panie, panie... ja się boję,
Tam za nami rycerz mknie...
Patrz, jak w ciemną jego zbroję
Błędny ognik wpatrzył się...
Patrz, jak żarem z nozdrzy pryska
Rumak jego czarny kruk,
Jak kopytem iskry ciska...
Niech nas wielki strzeże Bóg!...“
„Witam, witam was, kompany!
Wam nieznana lasów głąb',
Więc rycerzu mój zbłąkany
Do mnie na noc, do mnie wstąp.“
„Niechaj będzie! . Nocną dobą
Błądzę nieświadomy dróg,
Więc na nocleg jadę z tobą,
W twój gościnny wstąpię próg!“
„Panie, panie... patrz jak sine
Usta jego, trupia twarz,
Precz od niego, precz w gęstwinę,
Jeźli Boga w sercu masz!...
„Milcz przeklęty giermku blady!...
Po co pacierz mruczysz ty...
Rumakowi nie dam rady,
Jak się wspina, skacze, drży!..
Jadą, gonią górą, jarem,
Pod kopyty ziemia grzmi,
A przed nimi, nad moczarem
Zabłąkany ognik tli...
„Patrz, na szczycie owéj góry
Wybujałe w tysiąc wież...
Patrz, to zamku mego mury...
W lot rycerzu, za mną spiesz!“
„Panie, panie... moczar błyska,
Wkoło ptaków wodnych rój,
Zbójeckiego ślad zamczyska...
O, przez Boga, wracaj, stój!...“
„Szybciéj, szybciéj... cwałem konia!...
Łąki świecą, rzednie las,
Ptak wylata już na błonia,
Kury pieją.. czas nam, czas!...“
„Stój!... pod koniem darń się zgina,
Woda pluszcze, pełznie gad,
Wkoło z jękiem szumi trzcina...
Kędy droga?... gdzie jéj ślad?...“
„W bok tu, za mną!... Jeszcze chwila,
Nim dobiegniem lepszych dróg,
Z mgły tam zamek się wychyla...
W mój gościnny wstąpisz próg!..“
„Stój!.. gdzie giermek, gdzie mój wierny?
Gdzie go zbłąkał czarów kłam?...
Krzyk mój ginie w las bezmierny,
Gonię za nim... wracaj sam!...“
„Ha!... pogonisz wiatr rycerzu...
Giermek w gęsty zboczył las,
Niech zostanie przy pacierzu...
Kury pieją... czas nam. czas!...“
„Stój!... Zkąd trupie tu czerepy?...
Zkąd kałuży krwawych rdza?...
Kości miota koń mój ślepy,
Śmierć roznosi ranna mgła...“
„Ha!... to w głębiach tych topieli
Śpią kupieckich szczątki ciał...
Niechaj leżą jak posnęli...
W bok tu, za mną... daléj w cwał!..“
„Precz ztąd, precz ztąd!... koniu stary,
Czemuś upadł, czemu drżysz?!...
Niech piekielne znikną czary
Przez Chrystusa święty krzyż!...“
Grom zapalił czarne chmury,
Z szumem prysła bagnisk toń,
Śmiechem jękły lasy, góry...
Jeździec zniknął, zniknął koń!...
....
....
....
„Panie, panie... zorza błyska
Wkoło ciebie moczar lśni...
Zbójeckiego ślad zamczyska
Otulony chmurą mgły...
Słyszysz panie?... dzień już świta,
Zdala wiejski jęczy dzwon,
Pośród bagien ścieżka skryta
Do rodzinnych zdąża stron...
Dosiądź konia, zmów pacierze,
Poprowadzę świadom dróg...
Tam bieleją zamku wieże
Niech nas mocny wiedzie Bóg!...“

Poznań dn. 1 października 1871. J. M.

O REPERTOARZE TEATRALNYM

przez

J. Narzymskiego.

W dopełnieniu kilku uwag, jakieśmy w poprzednim artykule o znaczeniu i wpływie teatru rzucili, niezawadzi może powiedzieć słów parę, o zasadach, jakichby się powinien trzymać reżyser, takiego n. p., jak poznański, teatru, gdy się zabiera do ułożenia repertoaru na pewien przeciąg czasu.

Powiadamy gdy się zabiera, choć właściwie, wypadałoby może powiedzieć gdyby, bo przebiegając spis sztuk granych w Krakowie, Lwowie i Poznaniu, trudno znaleść jakiś system, schwytać jakąś myśl przewodnią. Zdaje się, że brano sztukę po sztuce, ot tak, na traf, która się zdarzy, lub która w rękę wpadnie.

Tymczasem, staranność w wyborze rzeczy do grania przeznaczonych, obmyślany porządek w jakim następują ich przedstawienia po sobie, zastosowanie się do gustu publiki, a raczéj téj jéj części która smak zachowała, i do fluktuacji tego gustu, wszystko to są okoliczności, które niewidocznie, a jednak potężnie wpływają tak na materjalne powodzenie przedsiębierstwa, jak i na zwiększenie lub zmniejszenie moralnego wpływu teatru.

Zadanie to trudne samo przez się, jest trudniejszém jeszcze w takiém miasteczku jak Poznań lub Kraków. W wielkich stolicach i na téj drodze wyrabia się roz dział pracy. Każdy teatr ma swoją specjalność, któréj pilnuje. Zresztą tam kilka sztuk zaledwie przedstawia się przez sezon, więc praca i odpowiedzialność reżysera jest daleko mniejszą.

Ale tam, gdzie po paru reprezentacjach najlepszy utwór trzeba chować ad acta, gdzie więc repertoar obejmować musi kilkadziesiąt sztuk na sezon, tam, gdzie teatr jako jeden i jedyny, musi wypełnić choć w części wszelkie zadania sceny, zadowolnić wszystkie gusta, gdzie do tego brak osób i środków krępuje ręce, tam zaprawdę układ repertoaru wytrzymujący krytykę, jest dowodem wykształcenia i wielkiéj bystrości.

Teatr ma kształcić serca, ma rozwijać szlachetne instynkta mass, ma je rozpalać do tego co zacne i wzniosłe; teatr ma pod osłoną śmiechu i bajki chłostać głupotę, przesąd, złość, niecnotę, ma stawiać przed oczy widzów i słuchaczy kwestje życiowe, społeczne, w plastycznych kształtach wyprowadzać przed oczy prądy chwilowe lub wieczyste niedomagania ludzkości... Obok tego wszystkiego teatr musi bawić, zajmować, musi ściągać żeby żył.

Bez grzechu i hańby niewolno mu dla zysku poświęcić artyzmu i uczciwości, upadłby i popełnił samobójstwo, gdyby niechciał ustępstwa zrobić smakowi epoki.

Niema zapewne nic majestatyczniejszego etycznie, piękniejszego artystycznie, jak tragedje greckie lub arcydzieła Shaekspira, ale jakżeby nazwano dyrektora teatru prowincjonalnego, gdyby przez fanatyzm dla piękna grał ciągle tragedje owe? Z drugiéj strony na jakie miano zasłużyłby ten, kto dla materjalnych zysków zmieniłby teatr na budę jarmarczną?

Otóż oddać Bogu co boskiego, a co cesarskiego cesarzowi, znaleść miarę właściwą, niezaniedbać tego co się sztuce należy, zachować granice do jakich dojść można w ustępstwach dla gustu chwili, robiąc te ustępstwa nawet, niezapominać o prawdziwych zadaniach sceny, oto zagadka, którą reżyser ma do rozwiązania.

Jeżeli rozwiązania tego sumiennie do serca nie weźmie, jeżeli zostawi wszystko przypadkowi i bez skrupułu, bez obmyślonych powodów, będzie rzucał na scenę farsy obok tragedji, stare i nowe komedje, co się da, co w rękę wpadnie, powstanie chaos, zamęt, nieporządek. Smak widzów szarpany i gwałcony zepsuje się, publiczność w téj galimatji straci zmysł krytyczny, wpływ teatru który działa tylko ciągłością wrażeń, zmaleje i osłabnie.

Z ogólnych tych uwag przechodząc do praktycznego ich zastosowania, przystępujemy doń z niemałą obawą, bo łatwo nam zrobić zarzut, że tu nie teorja lecz doświadczenie jest najlepszym mentorem. Sądzę jednak, że często właśnie ten ogrom obowiązków, jaki na dyrektorach prowincjonalnych ciąży, niepozwala im jasno objąć ogólnéj całości, i że uwagi człowieka z boku stojącego, należącego do publiki owéj, która podtrzymuje scenę, serdecznie pragnącego świetności teatru, jako jednego z narzędzi pracy społecznéj, że takiego człowieka spostrzeżenia mogą niebyć bez pożytku.

Otóż, zaczynając od szczytu nieradzilibyśmy wyłączać z repertoaru tragedji. Jeżeli tylko jest choć jeden artysta zdolny jako tako wypowiedzieć tragiczne kreacje, przedstawiać je należy, w dozie naturalnie bardzo umiarkowanéj. Rozstawione jak kolumny marmurowe w pewnych odstępach, posłużą one publice za miarę do ocenienia innych utworów, odświeżą jéj umysł zapylony realizmem dzisiejszych komedji i dramatów, i od czasu do czasu wyniosą dusze słuchaczów na idealne wyżyny, co bardzo zdrowo dla człowieczego ducha.

Co rok więc cztery lub pięć arcydzieł tragicznych powinno się pokazywać na scenach naszych. Szekspir, Słowacki, Szyller, Goethe, wreszcie Victor Hugo czasem, oto może nieliczny, ale niewyczerpany skarb, z którego wieki jeszcze czerpać można.

Po téj czci genjuszowi oddanéj, po odbyciu téj wędrówki na szczyt Olimpu dramatycznego, którą każda wykształcona publiczność parę razy do roku orzeźwić się powinna, staje zaraz inny obowiązek. Należy i naszym arcydziełom niepozwolić w kurzu leżeć, należy wiązać tradycję dramatyczną. Jest n. p. kilka sztuk Fredrowskich, jeden lub dwa utwory Korzeniowskiego, które należy w każdym sezonie powtarzać, bo one zawsze świeżemi zostaną, bo one są wzorem, są tém, co dla Francuzów Mollière. Obok tego niezaszkodziłoby sięgnąć i głębiéj, poprosić o pomoc Krasickiego, Zabłockiego, nawet Bohomolca. Nie nadużywać tych prób rodzącéj się sztuki, ale je zwolna pokazywać, bo są w nich rzeczy cenne.

Nie należymy wcale do tych, którzy tłomaczenia chcieliby usunąć, którzy gorszą się francuzką komedją. Szerzéj o tém mówiliśmy w poprzednim artykule. Owszém, nie żyjąc, nie pragnąc żyć w odosobnieniu od reszty świata, powinniśmy go poznawać. Rzecz piękna jest wszędzie piękną, a cywilizowanych warstw obyczaje i prądy są tak do siebie zbliżone, że obrazy z życia innych narodów, nie są bez interesu i nauki dla nas.

Ale należy w tém zachować miarę i takt. Pojawia się rocznie we Francji cztery może pięć dobrych utworów, tłomaczyć je, ale dać pokój tym stosom fars, któremi zanieczyszczamy nasze repertoary.

Przedewszystkiém zaś usunąć z bibliotek, spalić należy tę massę dramatów szalonych, à la Dennery, które są plagą naszych scen, nudzą ludzi rozsądnych, krzywią do szczętu talent artystów, psują smak publiczności, i prócz przestrachu lub obrzydliwości, nic więcéj nie budzą.

Dyrektorzy jednak twierdzą, że takie sztuki podtrzymują ich materjalnie. Ogłoszenia n. p. Borkow-

skiego dowodzą, że gdy Zemsta dała mu w Kijowie 120 rubli, Pamiętniki szatana przyniosły półtora tysiąca.

Ale jeżeliż tak jest, jeżeli byt teatru wymaga tak zwanych sztuk niedzielnych, to czemuż dyrektorowie nasi nie starają się stworzyć tego rodzaju literaturę narodową? Jeżeli smak i zasady piękna trzeba poświęcić gustowi zepsutemu publiki, toż niech przynajmniéj tendencja zostanie i koloryt rodzimy.

Nie brak ludzi do tego. Anczyc n. p. pisałby wyborne komedyjki niedzielne, Starkel napisał kapitulację Laonu, Sabowski Strzelców wogezkich. Sztuki takie osnute na motywach miejscowych lub sympatycznych, brzmiące jakiém popularném hasłem, ściągałyby równie dobrze albo lepiéj słuchaczy, jak krwawe i dzikie dramata tłomaczone. Naturalnie, takich rzeczy nikt darmo nie napisze, bo one ani sławy autorowi nie przyniosą, ani drukować ich nie warto. Alež dyrektorowie trzech wolnych teatrów mogliby zapewnić choć jakie takie wynagrodzenie i z własną korzyścią zastąpić zbutwiałe płody spekulacyjnéj a chorobliwéj fantazji, utworami zdrowszemi i jędrniejszemi.

Co zaś czasu pozostanie od kilku tragedji, od znanych już ale klassycznych komedji własnych, od tłomaczeń rzeczy wybornych i świeżych, od sztuk wreszcie niedzielnych, to powinno być użyte na przedstawienia rzeczy nowych, oryginalnych. Konkurs krakowski ostatni dowiódł dwóch pewników: 1) Że byle była zachęta i pewność, że jeżeli się sztuka uda, przedstawią ją, przeczytają, osądzą, że jeżeli jest tego pewność, to znajdą się pisarze — bo prócz uwieńczonych było jeszcze kilka utworów, które lepiéj zastosowane do wymagań sceny, mogą się na niéj z powodzeniem pokazać; 2) Że publiczność krakowska, nie bez słuszności obmówiona o obojętność dla rodzinnych utworów, przyjęła je jednak z daleko większą ciekawością, jak wszystkie nowości francuzkie, i to stanie się każdą razą, jeżeli tylko nie zabije się nowéj sztuki przed jéj ukazaniem obojętnością i szyderstwem, jeżeli reklamę konkursu zastąpi się życzliwém poparciem. Po 3cie nareszcie, konkurs ten dowiódł, że artyści nasi z większą werwą i powodzeniem odtwarzają typy miejscowe jak cudzoziemskie.

Może niema wśród młodych pisarzy Fredry, bo i ojczyzna komedji, Francja, miała jednego tylko Mollière'a, ale mogą być, mogą się wyrobić przynajmniéj pisarze jak Feuillet, Dumas syn, Sardou i inni. Trzeba jednak zachęty, żeby się wyrobić mogli. Trzeba, żeby dyrektorowie nietylko nie odpychali wszelkich prac na ślepo, jak to się działo dotąd, nietylko ich nieignorowali, ale dali jakąś gwarancję przeciw własnéj fantazji i kaprysowi.

A jest to ich obowiązkiem i zarazem w interesie ich leży. Obowiązkiem, bo wspierani przez kraj, winni są teatr prowadzić tak, by spełniał swe społeczne zadanie. Zadania tego, jak wiemy, może najważniejszą częścią jest podnosić kwestje bieżące przypominać je, karcić złe kierunki, rozgrzewać do dobrych. Teatr, jako obraz życia, powinien wszystkie jego strony i metamorfozy malować. Aby to spełnić, teatr bez sztuk nowych oryginalnych, chwytających chwilowe prądy na gorącym uczynku, obyć się nie może.

Niewypełniając tego obowiązku, teatr traci połowę swego wpływu i upadać musi.

Interesem zaś dyrektorów unarodowienie teatru jest dla tego, że utwory oryginalne, dotykające kwestji bieżących, malujące życie nasze własne, muszą zaciekawiać bardziéj publiczność, jak obrazy z życia obcego, jak kwestje u nas jeszcze lub już nieistniejące.

Pierwsze tylko lody przełamać trzeba.

Ogólny więc charakter repertoarów naszych powinien się zmienić radykalnie w sensie narodowym. Kilka uroczystych przedstawień tragedji (jeżeli siły starczą), celniejsze komedje Fredry i Korzeniowskiego, parę okazów dawniejszéj literatury, to co się najlepszego pokazało we Francji, Niemczech lub Sławiańszczyznie, na niedzielne przedstawiania dramata artystycznie, choćby równe wyrzuconym, ale osnute na tle rodzinném, a to wszystko przeplatane tém, co się ukaże nowego w kraju, a co godne przedstawienia będzie.

Na tych tylko zarysach oparty repertoar, temi zasadami natchniony wybór sztuk, może zadowolnić publiczność, może ją zwolna przywiązać do teatru, może zrobić z téj instytucji to, czém być powinna.

To też dyrektorowie powinniby uprosić sobie ludzi kompetentnych i zasięgać ich rady, tak przy układaniu repertoaru, jak przy ocenianiu utworów nadsyłanych. Byłaby to gwarancja sprawiedliwości dla pisarzy, reklama korzystna dla sztuki, a dla dyrektora tarcza przeciw zarzutom niedbałości, osobistych niechęci lub ignorancji. —

Korespondencja z Krakowa.

Kraków 7 października 1871.

Mroźny wiatr z północy ziębiąc do kości spędza ludzi z ogrodów, z letnich mieszkań, ze wsi do miasta, do ogniska życia moralnego i materjalnego; o ile nam duszno w miejskich murach z nadejściem lata, o tyle wśród nich swobodniéj, gdy natura zrzuci godową szatę, a szarugą się powlecze. Roi się teraz Kraków młodzieżą szkolną, a tak może licznie, jak za Jagiellonów, gdy Alma mater tysiącami do siebie młodzież garnęła. W narodzie czuć chęć do nauki; o chłodzie i głodzie ciśnie się biedactwo do szkół a uczy dobrze; celującymi uczniami są zwykle synowie ubogich rodziców. Radość bierze słysząc, jak coraz nowe sale zapełniają się wnet i nie mogą objąć mnożącéj się niezmiernie liczby studentów; wszak to przyszłość narodu w ich ręku, — a w obec tego jakże strasznie odbija postępowanie starszyzny, na któréj sumieniu spoczywa cała odpowiedzialność za położone w niéj zaufanie. Z braku miejsca jeden tylko tu z wielu przykład przytoczę, a dotyczy on prześwietnéj Rady miasta Krakowa.

Dotychczas wykształcenie żeńskiéj młodzi spoczywało w rękach klasztorów żeńskich i prywatnych pensjonatów. Zgromadzenie pp. Prezentek zwane u nas klasztorem Śgo Jana, utrzymywało od dawna szkołę żeńską publiczną z funduszów krajowych o 5 klasach; rodzaj gimnazjum, zkąd wychodziły panienki na kurs pedagogiczny. Był to wzorowy zakład naukowy pod zarządem prefekty panny Bogumiły Römer, w czasach germanizacji wytrwale walczący z c. k. szulratami o każdą swobodę narodowego wychowania, skoro się jednak jezuici w Krakowie osiedlili (bez pozwolenia gminy) pojmując ważność takiego instytutu, postanowili bądź co bądź najskrytszemi drogami zawładnąć szkołą. Co się tam wtedy działo, dużo trzebaby opisywać, dość, że celu dopięli Czarni Ojcowie, bo szkołę zamieniono na zakład policyjny, X. Goliana mianowano dyrektorem, godnym jego katechetą X. Kwiecińskiego; p. Bogumiłę prefektę złożono z urzędu i w celi klasztornéj uwięziono. Kwitnęła wtedy nauka kaligrafji, pochlebstwa i wzajemnego szpiegowania; w każdéj klasie wyznaczono denuncjantki, które zdawały raporta w główném biurze w celi panny Morskiéj nietylko o usposobieniu koleżanek, lecz i ich rodzin. Ksiądz katecheta prawił dziewczętom o herezji dziennikarzy, o nędzy i więzieniu Ojca Śgo i wyciskał

ostatni grosz na świętopiet .e dla bogacza w Watykanie. Stan taki oburzający wl'ł się długo, bo ultramontanie umieli zapobiegać każdéj możliwéj zmianie, wreszcie jednak runął. Odjęła rada szkolna we Lwowie krajową subwencję klasztorowi, obracając ten fundusz na utrzymanie niezależnéj szkoły, tymczasem stronnictwo jezuickie postarało się o roczne pozwolenie otworzenia instytutu prywatnego w klasztorze Śgo Jana; znać zdziałano to podstępem, bo zakonnice, obecnie tam wykładające, nie posiadają nauczycielskich patentów.

Rada szkolna zażądała wówczas od Rady miejskiéj w Krakowie wyznaczenia mieszkania na pomieszczenie żeńskiéj szkoły. Na posiedzeniu Rady przydzielono sprawę tę sekcji szkolnéj, która tak się ochoczo do rzeczy wzięła, że minęły wakacje, minął wrzesień, odkąd wszystkie szkoły się rozpoczęły, nim po kilku miesiącach uradzono otworzyć nareszcie trzy tylko klasy, wcale się nie troszcząc, co poczną panienki, które już trzy klasy ukończyły. Dotąd jednak i ta trzechklasowa szkoła jest na papiérze i będzie Bóg wié jeszcze dokąd.

Podobno przyszło rozporządzenie do szkół gimnazjalnych, aby przymusowa spowiedź odbywała się tylko trzy razy w ciągu szkolnego roku, nie zaś, jak to miało miejsce dotąd, po 5 lub 6 razy. Przed kilku dniami właśnie odbywała się taka spowiedź w gimnazjum Śtéj Anny. Ksiądz Jezuita słuchając jednego ucznia z 8méj klasy spowiedzi, zagadnął o książki, jakie czytuje, a gdy wymienione nie należały do wybranych przez czarne zgromadzenie, nakazał mu je spalić. Uczeń tłomaczył się niemożliwością, gdyż książki czytywane przez niego były własnością jego ojca, wówczas Jezuita zażądał wymienienia nazwiska ojca; — student na te słowa odszedł od konfesjonału.

Lwów zabiera nam najzdolniejszych ludzi, świeżo odjechał z Krakowa na katedrę akuszerji w uniwersytecie lwowskim Dr. Adam Czyżewicz, młody, lecz wielkiéj już wziętości lekarz, oddający się nauce z najgorętszém zamiłowaniem; uniwersytet krakowski szczyci się nim, jako swym uczniem i dla tego to wydział medyczny przedstawił na wakującą katedrę Dr. Czyżewicza, wyłącznie jako najzdolniejszego. Pośród wielu ubocznych wpływów, protekcji, odniosła zwycięztwo sprawiedliwość, co podobno zawdzięczyć należy namiestnikowi hr. Gołuchowskiemu; chociaż bowiem Dr. Czyżewicz miał kwalifikacje, w obec których żaden ze współubiegających się o tę katedrę nie mógł się z nim równać, to jednak rezultat był wątpliwym z powodu nepotyzmu, jaki obecnie panuje w Galicji przy obsadzaniu wszelkich posad.

W Krakowie dotąd niewiadomo, kto zajmie miejsce po ś. p. Dr. Karolu Gilewskim w klinice, jest to bowiem ważne stanowisko, na które wydział medyczny pragnie pozyskać z Warszawy Dr. Chałubińskiego, właśnie przez rząd rosyjski z profesury dymisjonowanego. Ma on jednak w Warszawie szeroką praktykę, uniwersytet zaś jagielloński więcéj nad 4000 zł. a. rocznie nie zdoła mu ofiarować; ciekawi jesteśmy, czy się to da ułożyć z korzyścią dla stron obydwóch.

Odnowienie Sukiennic rozpoczęto od dania nowego dachu, gdyż stary byłby już téj zimy nie przetrzymał. Jak będą one po odnowieniu wyglądać, wié tylko p. Plater i kółko osób, które p. Dietl do obejrzenia planów zaprosił; dla ogółu zostało to tajemnicą, bo ogół — to ulica u naszych mężów stanu. Ufając tylko imieniu pana Platera, możemy się spodziewać, że coś godnego zbuduje.

Wystawa obrazów i rzeźb w Tow. Sztuk Pięknych obecnie znajduje się w kwitnącym stanie, zapełniają sale dzieła różnéj treści i różnych rozmiarów najznakomitszych polskich artystów. Publiczność krakowska wzburzona jest nadzwyczajnie postępkiem dyrekcji tegoż towarzystwa, za wystawienie na licytację Lituaniki Grotgera, zarobiwszy dosyć guldenów narozprzedaży z niéj wykonanych albumów fotograficznych. Znana jest wszędzie samowola dyrekcji krakow. Tow. Sztuk Pięk., złożonéj przeważnie ze stańczyków; lekceważy ona z najwyższym cynizmem wszelką wolę publiki i akcjonarjuszów, zreformować się nie chce, a w tych warunkach jak istnieje dziś, akcjonarjusz niema głosu w swéj własnéj sprawie, winien tylko składać corocznie 5 guld. 10 cent. i brać, co mu dadzą, choćby tak nawet liche premium, jak tegoroczne.

Ponieważ teraz ludzie dobréj woli krzątają się koło uświetnienia jubileuszu urodzin Kopernika, koło wydawnictwa jego życiorysu i wizerunku, nie od rzeczy będzie nadmienić, że głowa wyryta na stali przez Oleszczyńskiego a jako premium ongi rozdana przez krakowskie Tow. Sztuk Pięknych za portret Mikołaja Kopernika, przedstawia nie jego, lecz Niemca Stefflera, — podobieństwo leży chyba w tém, że obadwaj byli astronomami; kto się chce przekonać o prawdzie słów niniejszych, niech się uda do p. Bartynowskiego w Krakowie, zbieracza portretów; posiada on w swoim ogromnym a bardzo rzadkim i szacownym zbiorze tak Stefflera jak Kopernika wierne wizerunki. Zdarza się to teraz dość często, że podpis kłamie rycinie. Przecież p. Chociszewski w swéj krótkiéj historji polskiéj dał drzeworyt Rakocego za portret króla Stefana Batorego (piękna omyłka!) i powtórnie tożsamo uczynił przy wydaniu śpiewów historycznych.

Tygodnik illustrowany warszawski niedawno podał, niewiadomo mi czyj portret, za wizerunek Stanisława Dunieckiego, zdolnego autora „Paziów królowéj Marysieńki.“ Przecież znaliśmy go tu w Krakowie wszyscy, śmieszyć więc musi chętka mamienia czytelników.

Obawiamy się niezmiernie o zdrowie sławnego naszego rektora Jagiellońskiéj wszechnicy Józefa Kremera, który bawiąc we Lwowie jako poseł na sejmie, tam zachorował; rodzina jego ztąd do Lwowa pospieszyła, a niewiadomo nam, czyli powodem choroby nie jest przypadek przejechania go tamże przez dorożkarza. Pominąwszy wszelkie inne przymioty dzieł Kremera, trzeba przyznać, że językiem polskim nie włada dziś nikt tak, jak on, Libelt i Pol. □

Wycieczka do Saskiéj Szwajcarji

przez

Hr. na Lodowéj Turni.

(Dokończenie.)

Po krótkim wypoczynku poobiednim w ogrodowéj altanie, wyruszyliśmy do ostatniego punktu, który jeszcze zwiedzić zamierzaliśmy t. j. do Prebischthor. Przez kwadrans może spuszczaliśmy się po łagodnéj spadzistości śród świerków i wkrótce wyszliśmy na otwartą skalistą płaszczyznę, wielkiemi skalistemi bry-

łami zawaloną. Cała ta przestrzeń aż do Prebitschthor była niegdyś bujnym lasem okryta, który w r. 1842 pożarem zniszczony został. Ztąd okolica ta jakkolwiek śladu spalenizny znać już nie było, dziwnie przypominała pustynię. Ścieżka też bynajmniéj nie była tak wygodną jak dotąd. Trzeba było to przez głazy przechodzić, to między niemi przez wązkie szpary się przeciskać. Dziwiło nas to nagłe zaniedbanie ścieżki, dopiéro spojrzawszy na mappę przekonaliśmy się, żeśmy już wstąpili na austrjackie dziedzictwo — do Czech.

Po godzinnym po téj puszczy marszu ujrzeliśmy się dość niespodzianie znowu — nad brzegiem przepaści! Lecz nie ta otchłań jest główną tego miejsca osobliwością. Kręta ścieżka wprowadza cię na dziwną skałę, która jakby mur jaki wkracza do przepaści świerkami najeżonéj. Uszedłszy po tym wysokim murze kilka kroków, stawasz zdumiony przed osobliwym mostem. Jest to wielka jednolita płyta kamienna 48' długa 10' gruba rzucona przez naturę dla połączenia następnéj samotnéj pionowéj skały. Wszystko razem wydaje się patrzącemu z boku (rozumie się z dołu) jakby ogromną bramą w murze jakiegoś zrujnowanego olbrzymiego zamczyska.

Siedliśmy na brzegu przepaści nie dla tego by ją podziwiać, lecz aby się przypatrzeć czeskiéj krainie, któréj najpiękniejszą część mieliśmy przed sobą. Nie wiem czy skutkiem pobratymczego uczucia, czy też wynikiem rzeczywistéj wartości, zdawały się nam Czechy daleko piękniejsze jak Saksonja. Wesoła rozmaitość gór czeskich, mocno odbijała od sztywnéj saskich fortów jednostajności. Żal nam było ztąd odchodzić, ale głuchy grzmot zbierającéj się na zachodzie burzy wzywał do szybkiego pochodu. Trzeba nam bowiem było koniecznie przed deszczem jeszcze stanąć w H e r r n s k r e t s c h e n nad Elbą, zkąd nas parowiec miał zabrać do Drezna.

W mig spuściliśmy się do wesołéj czeskiéj doliny B i e l i, lecz jéj piękności nie dozwalał nam już swobodnie podziwiać ulewny deszcz, który nas mimo pośpiechu zaskoczył wśród drogi. Zmoczeni prawie do nitki przybyliśmy do Herrnskretschen tuż nad samą Elbą leżącego. Dla zabicia czasu (bo jeszcze parowiec nie nadszedł) a raczéj dla ochrony od deszczu wstąpiliśmy do austrjackiéj t r a f i k i, by zakosztować cesarsko-królewskiego tytuniu. Półgodzinne czekanie przy wonnych obłokach dymu spędziliśmy na nauce języka czeskiego z rozmowną właścicielką trafiki. Nagle odezwały się bębny i piskliwe tony piszczałek, wypadamy przed dom, spojrzymy na zakręt doliny, a to nasze Prusaki z pod Winterbergu wynurzają się szeregiem i przyspieszonym marszem zdążają także do stacji, zmoczeni w okropny sposób. Ich widok zdziwił nas nie mało! — bo też w czasie pokoju Prusacy — w Czechach!... z bronią i wszelkim rynsztunkiem!... dziwna zaprawdę licentia poetica!

Kapitan, człowiek miłéj powierzchowności, brunet z czarnym wąsikiem i — rzecz niesłychana — z hiszpanką, wprowadził cały ten oddział z stukilkudziesiąt chłopa złożony na parowiec, który właśnie nadjechał. Nie bardzo nam to było miło, bośmy się oddawna już cieszyli myślą téj jazdy na Elbie przez Saską Szwajcarję — a tu śród gwaru, śpiewów, hałasu i śmiechów ani miejsca, ani spokoju nie było. Na dobitkę deszcz zaczął padać, a tak z całą kompanją schronić musieliśmy się do kajuty. Zamiast więc raczyć się widokiem romantycznych brzegów Elby, musieliśmy słuchać żołnierskich piosnek, których treść mocnym rumieńcem oblewała twarze dwóch dziewczyn roznoszących piwo. Szczęściem deszcz ustał niedługo: wyszliśmy więc na pokład odetchnąć świeżém powietrzem i popatrzeć na świat boży. A przyznać trzeba, że było na co patrzeć.

Jak Ren od B i n g e n aż do B o n u słynny jest z swoich brzegów na całe Niemcy: tak Elba od B o d e n b a c h w Czechach aż do P i r n y w Saksonji. Jéj brzegi dość stromemi wzgórzami ścieśnione upiększone są hojnie malowniczemi gruppami owych skał pionowych, w które tak bogatą jest Saksonja. Żywo to nam przypominało nasz Dunajec w Pieninach, który (jak teraz naocznie przekonać się mogliśmy) jest — nie przesadzając wcale — daleko, daleko piękniejszy od Elby a nawet — Renu. Cóż bowiem nadaje tak pociągający urok Renowi? — oto bezwątpienia owe liczne ruiny zamków i b u r g i: usuń je, a brzegi Renu ze swemi winnicami dość prozaicznie wyglądać będą. Tymczasem Dunajec tak jest rozrzutnie od natury obdarzony wyniosłemi stromemi skałami od 500 do 1000 stóp wysokiemi, kręte jego brzegi tak wiele mieszczą w sobie rozmaitości i niespodzianek, że tu zupełnie czujesz się zadowolonym samą tak bogatą w piękne obrazy naturą. Ileż skał daleko wyższych i bez porównania piękniejszych jak owa okrzyczana L o r l e i nadreńska! A zresztą i zamków i ruin tu nie brak! Na lewo tam hen wysoko czerwienią się poszarpane mury C z o r s z t y n a, sławnéj siedziby Czarnego Zawiszy; na prawo rozsiadł się szeroko na górze węgierski zamek N i e d z i c a; nieco daléj widzisz ów ponury C z e r w o n y k l a s z t o r, dziś smutną pustką stojący; wreszcie znowu na lewo ukażą ci górale szczątki rozwalin zamku, w którym św. Kunegunda podczas napadu Tatarów schronienie znalazła. Te święte i drogie ruiny nad Dunajcem naszym z pewnością rzewniéj przemówią do twéj duszy i serca aniżeli owe wszystkie Stolzen- i Drachenfelsy nad Renem, lub Königsteiny nad Elbą.

Lecz otóż i on — Königstein, potężna naturalna forteca. Czyjeż działa rozwalą te mury skaliste? który żołnierz na świecie odważy się szturm przypuścić do tych wybujałych głazów? — A przecież wcisnęli się tam cichuteńko Prusacy i pewno nie wyjdą tak łatwo!...

Parowiec się zatrzymał, a wyrzuciwszy na brzeg nowych obrońców Königsteinu ruszył daléj z hałasem, prując ostro gładką rzeki powierzchnię. Mijając znajomą nam Bastei, która się ztąd daleko skromniejszą wydała, pożegnaliśmy w niéj Saską Szwajcarję — dość chłodno i obojętnie!...

Chłodno, mówię, i obojętnie, bo i cóż nas tu miało wiązać? Wszystko tu obce, lud, język, zwyczaje, pamiątki, a natura w ogóle wziąwszy, za słabe na nas uczyniła wrażenie. Nie tak się opuszcza prawdziwą Szwajcarję, gdzie wprawdzie także wszystko jest obce, wszakże przyroda tak jest wzniosłą i piękną, tak bogatą w majestatyczne obrazy, że oczu nie możesz od nich oderwać, a gdy już musisz je rzucić, długo się jeszcze oglądasz na ów nieskończony łańcuch niebotycznych szczytów, dopóki ci nie znikną w mglistéj oddali.

Ale najciężéj rozstać ci się przychodzi z Tatrami: już tam z pewnością co najmniéj połowę serca zostawisz. A jest też co pokochać! Bo Tatry i Alpy to siostrzyce rodzone i jeżeli które góry w Europie, prócz Kaukazu i Pirenejów, Szwajcarją nazwać by się chciało, to jedynie Tatry nasze godne są téj nazwy. Nawet Apeniny włoskie nie mają tego imponującego wielkością i groźnego charakteru, co Tatry. „Cudzoziemscy badacze przyrody, którzy zwiedzali alpejską Tatrów krainę, zgadzają się wszyscy na to, że charakterystyczną jéj cechą jest przerażająca dzikość i takie gwałtowne, przepaściste poszarpanie litych skał, jak w żadnych innych górach europejskich“*). Gdybyż tam jeszcze były szwajcarskie jeziora!... Ale trudnoż na tak niewielkiéj przestrzeni pomieścić się wszystkim skarbom natury. Za to

*) L. Tatomir. Tatry.

owe dziewięćdziesiąt kilka stawów, to zielonych, to modrych, to czarnych, to czerwonych, rozrzuconych jak „pawie oka“ ileż dodają Tatrom uroku i wdzięku! — To też gdy raz ujrzysz na własne oczy owe polskie Alpy, te szczyty straszliwie się jeżące ku niebu, te smugi śniegów, te potoki spienione, a na nich wodospady liczne, od których grzmotu drżą głazy — tak ci się wryją głęboko w pamięć, że już ich nie zapomnisz w swém życiu!... A obok tych wielkich i poważnych obrazów jakże cię mile chwycą za serce owe rozkoszne polany i hale, na których

Setnemi echy pieśni pastusze
I dzwonki trzody w oddali dźwięczą
I taką leją melodję w duszę,
Tyle w nich cichéj uroczéj treści,
Tyle nadziei, tyle tęsknoty,
Iż zda się, że tu znany z powieści
Jeszcze istnieje śród gór wiek złoty,
Z pląsami bogów, śpiewem pasterek,
Jakby w dolinie Arkadji stworzon*).

Daléj owe liczne doliny, wszystkie piękne i osobliwe, a każda w innym rodzaju: ta sławna grotą i źródłem niezwykłém, druga dziwnemi skałami, inna dzikością i grobową powagą, inna śmiejącą wesołością, jeszcze inna klasycznym artyzmem a wszędzie prawie masz stawy, potoki, kaskady, to mniejsze, to większe, wszędzie szałasy pasterskie, do których cię weseli i gościnni górale w twéj rodzinnéj mowie serdecznie zapraszają! Jakżeż tego wszystkiego nie pokochać na zawsze, kiedy to i piękne i wspaniałe, a do tego — swoje!...

*) Zbigniew Morawski. W Tatrach.

O ty ziemi naddziadów wdzięku czarowniczy!
Jak silnemi ogniwy twa święta potęga
Z ojczyzną ukochaną dusze nasze sprzęga!
Dla ciebie, gdy pieśń lubą usłyszy zdaleka,
Szwajcar w góry niepłodne z pysznych miast ucieka.
Dla ciebie, wiecznéj zimy twarde znosząc słoty,
W obcych krajach Lapończyk usycha z tęsknoty*).

Mielibyśmy tylko my Polacy stanowić niezaszczytny wyjątek i więcéj czcić obce strony jak swoje? więcéj uwielbiać taką n. p. przechwalaną Saską Szwajcarję lub tym podobne miejsca, jak nasze Tatry olbrzymie, albo Pieniny czarowne? Szczęściem, na chlubę naszą wyznać należy, że to ubóstwianie zagranicznéj przyrody już znacznie dzisiaj osłabło, a natomiast dość silnie wyradzać się już zaczyna poczucie krzywdy rodzinnemu krajowi wyrządzanéj. Jednak jakże wielu jeszcze dotychczas gardząc z grzesznéj niewiadomości swą ziemią, tak przecież bogatą w przepyszną przyrodę, pędzi rok rocznie podziwiać owe okrzyczane cuda obczyzny!... Czyliż będziemy lekkomyślnie iść ich przykładem?...

Pocóż śladem ubitym ścigać rzeszę płochą?
Wszak i dla nas natura nie była macochą.
A jeśli w obcéj ziemi piękna okolica
Czaruje wdziękiem oczy i umysł zachwyca;
Jeśli skał lodowatych nęci obraz dziki,
Jeśli bory posępne, wesołe gaiki,
Jeśli mają zaletę zdroje przezroczyste:
Dla mnie te najpiękniejsze, które są ojczyste**).

*) Z poematu „Okolice Krakowa“ przez Fr. Wężyka.
**) Z tegoż.

POKŁOSIE.

— „Kraj“ rozpoczął druk powieści **Kazimierza Chłędowskiego**, autora „Skrupułów“ p. n. „Ella.“

— **Flammarion Kamil**, astronom francuzki, wydał studjum historyczno-naukowe o **Koperniku**.

— **Bronisław Wołowski** ogłosił dziełko francuzkie p. n. „Dąbrowski et Versailles, — avec pièces et autographes à l'appui signés: Picard, Dombrowski, Valentin etc. et une lettre autographe de M. François Smolka, ancien président de l'assemblée nationale autrichienne, député à la diète de Gallicie et au Reichsrath de Vienne“ — uzupełniające poniekąd broszurkę jego p. n. „Polacy w rewolucji paryzkiéj“, o któréj wspomnieliśmy w Pokłosiu numeru 30 naszego Tygodnika. — Dziełko p. Wołowskiego ma podobno wyjść także w przekładach angielskim i niemieckim.

— **Dr. Juljusz Szymanowski** wydał w języku niemieckim podręcznik do operacji chirurgicznych.

— Nakładem J. I. Kraszewskiego wyszedł Cezara **Polewki** poemat p. n. Izella.

— W Warszawie wychodzić będzie odtąd dwutygodnik humorystyczno-satyryczny p. n. **Kolce**, który ze względów cenzuralnych wychodził dotychczas nieregularnie w zeszytach p. n. Kolce, Ostroga lub Kosa.

— **Władysław Ordon** tłomaczy dla sceny poznańskiéj komedję Wiktora Sardou p. t. „Les gens nerveux.“

— **Gabinet archeologiczny uniwersytetu jagiellońskiego**, zbogacony głównie darami: barona Rastawieckiego, hr. S. Mielżyńskiego, posła Kantaka, pp Kraszewskiego, M. Szczanieckiego, Domaradzkiego, Tow. Przyjaciół Nauk Poznańskiego i innych wielu, otrzymał znów około 200 przedmiotów starożytnych od księcia Władysława **Czartoryskiego**. Donoszą nam, że dar księcia składa się z zabytków nader cennych. Wielkopolska może się (szczególnie wykopaliskami) przyczynić wielce do zbogacenia gabinetu tego. J. Ł.

— Kontradmirał austrjacki Milossich nabywszy marmurową głowę **Wenery**, przesłał ją pomiędzy innemi pamiątkami do wiedeńskiego muzeum.

— **Joanna Becker**, trzynastoletnia córeczka sławnego skrzypka J. Beckera, występuje obecnie koncertach jako pianistka z wielkiém powodzeniem.

— **Jan Erazm Vocel**, uczony wierszopis czeski, umarł w Pradze dnia 16 września w 63 roku życia.

— Bawił w naszém mieście **Adam Kirkor**, znany w piśmiennictwie naszém pod pseudonimem **Jana ze Śliwina**, autor „Przechadzki i Przewodnika po Wilnie“, były redaktor Kurjera Wileńskiego i wydawca Teki Wileńskiéj.

— Przedstawienie sobotnie (7 b. m.) **Filiberty Augier'a**, którą w pięknym przekładzie Kazimierza Kaszewskiego mieliśmy sposobność widzieć na naszéj scenie, wypadło nad podziw dobrze. Zwłaszcza też rola tytułowa mimo trudności w jakie obfituje każda kreacja Augier'a, odarta z efektów bijących w oczy a pełna téj głębokiéj dramatyczności, pochodzącéj nie z zestawienia faktów ale z saméjże natury postaci, odznaczała się znakomitém wykończeniem. Do oddania takiéj roli w całéj prawdzie potrzeba psychologicznych studjów, inaczéj bowiem nie zrobi ona wrażenia. Aby jednak usprawiedliwić co wyżéj powiedziałem, uciec się muszę do przytoczenia treści, z któréj łatwo zrozumie czytelnik trudne zadanie artystki odtwarzającéj postać Filiberty.

Blanka (p. Heneman) pieszczone dziecko losu i rozkochanéj w niéj matki i Filiberta (p. Wolańska) są siostrami, dziedziczkami znacznego majątku i starożytnego imienia za czasów Ludwika XVI. Czemu ma się to dziać za Ludwika XVI a nie kiedy indziéj, nie wiemy, bo oprócz kostiumów a może po troszę charakteru starego księcia (p. Konarski) nic nam nie daje kolorytu epoki. O ile

pierwsza jest uwielbianą przez całe otoczenie, którego jest bożyszczem, o tyle druga z dawna uznaną została za pozbawioną tego, co jest (wedle Augier'a a pono i nie wedle niego tylko) wszystkiém dla kobiéty, warunkiem jéj bytu i szczęścia — piękności. W tém przekonaniu wzrosła i mimo wszelkich pragnień szczęścia, tłumi gorętsze każde serca uderzenie w obawie, aby się nie stać ofiarą zręcznego jakiego spekulanta. W istocie jednak Filiberta posiada ów talizman szczęścia kobiécego, matka tylko która starszéj córce bezpodzielnie serce oddała, nie widzi nic dobrego w młodszéj i zwolna swém postępowaniem stłumia w niéj wszelką śmiałość i zaufanie w sobie saméj; co więcéj Filiberta jest kochaną i mimo arcy-rozsądnych nakazów stawianych sercu, niezmiernie skłonną do uwierzenia w miłość Lucjana (p. Kwieciński) nieszczęściem ubogiego młodzieńca.

Tak rzeczy stoją, gdy na ślub Blanki przybywa chrzestny ojciec Filiberty, wysłany przez cnotliwy dwór Ludwika XVIgo po żonę, od któréj powrót jego na dwór ten zależy. Sześćdziesięcioletni książę, zapalony zwolennik dworskiéj atmosfery i celibatu, który uważa za synonim tak miłych mu rządów poprzednich, w niemałym jest kłopocie, jakby prędzéj ten nieszczęsny spełnić warunek; — córka chrzestna nadaje mu się bardzo, staranie się o nią nie zdaje się bowiem przedstawiać żadnych trudności. Matka uwiadomiona nie ma dla księcia wyrazów podzięki — nad podziw jednak sama Filiberta czuje się tém oświadczeniem dotkniętą; — książe mimo to nie ustępuje z placu a jako zręczny dyplomata kilkoma rzuconemi słowy zasiewa w sercu Filiberty, ziarno nieufności w czystość zamiarów Lucjana. Z księciem przybywa synowiec jego magnat z urodzenia i majątku Don-Juan dworski, liczący ofiary na dziesiątki i pewny swego powodzenia zawsze, cóż dopiero w obec sentymentalnéj wieśniaczki, któréj piękność od pierwszéj chwili ocenił i wyzyskać postanowił. Równocześnie Blanka, która obok zamiłowania w strojach i życiu światowem, nawiasem mówiąc, postać dość blada, posiada tradycyjne dobre serce, zamierza nie tylko zwalczyć uprzedzenia Filiberty, ale i przyczynić się do jéj szczęścia. Skłoniony przez nią Lucjan wyznaje téj ostatniéj swe uczucia, nieszczęściem w chwili właśnie gdy przyszła do przekonania, że z jego strony krok ten jest ofiarą dla arystokratycznego imienia, które koniecznie wymaga złotych ram majątku. Filiberta początkowo oczarowana słowami miłości wprętce przypomina sobie przestrogi księcia i wręcz to mniemanie wypowiada Lucjanowi. Naturalnem następstwem jest nieprzejednana obrażona duma ubogiego kochanka. Nagle następuje zupełny przewrot w pojęciach bohaterki; Gaston de Talmay, siostrzeniec księcia wprawny snać w swéj Don-Juańskiéj sztuce bez długich prologów oświadcza jéj miłość z któréj wszakże wyklucza mieszczański epilog małżeństwa. Filiberta mimo że obrażona we wszystkich swych o miłości pojęciach, w całéj swéj dziewiczéj dumie chętnie przebacza zuchwalcowi, który jéj zarazem przynosi wiarę w uczucia ukochanego Lucjana; to też stara się przejednać go za wyrządzoną niesprawiedliwość; — Lucjan jednak jest niewzruszonym. Po naradzie z Blanką zapada postanowienie użycia odwiecznego środka, praktykowanego w takich razach z powodzeniem, jak twierdzi Blanka — zazdrości. Użytemu w tym celu Gastonowi miłość zaczyna przechodzić z głowy do serca — wreszcie godząc się na małżeński epilog ofiaruje Filibercie swą rękę, imie i majątek. Z drugiéj strony stary książe nie zaprzestaje zamiaru wykonania swych planów a zapalony rywalizacją siostrzeńca równocześnie z nim oświadcza się Filibercie. Ta zaś przyrzeka im ostateczną decyzję za kilka godzin, każe przygotować kontrakt ślubny, w którym pozostaje tylko miejsce do wpisania nazwiska pana młodego, wybór zaś tego nazwiska zdaje na Lucjana, którego stanowi sędzią w sprawie szczęścia całego swego życia. — Tu następuje pojedynek arcy-niewinny bo zakończony lekkiém draśnieniem ręki dla Gastona — dla Lucjana zaś, który daremnie w nim szukał śmierci, — życiem i zdrowiem.

Następuje podpisanie kontraktu; wybór Lucjana oczywiście pada na Gastona de Talmay; — w téj chwili jednak wymowny protest w formie wyznania miłości wyrywa się z ust Filiberty, duma Lucjana która jak Molloch potrzebowała ofiary, czuje się nią zadowolnioną, rzecz kończy się ogólną radością bo i Gaston nie zdaje się niepocieszonym i książe w braku córki bierze matkę za kartę wolnego na dwór wstępu. Oto suche wiązanie komedji odarte z wszelkich ozdób nie dających się ująć w opowiadaniu. Narzućmy na nie misterną tkankę utworów Augier'a, osypmy brylantami iście tylko francuzkiego, pełnego elegancji a nieujętego dowcipu, dodajmy piękny język wierszowanego przekładu, prawdziwie wycieniowaną grę p. Wolańskiéj, którą najwięcéj ocenić było można w pierwszym monologu, scenie oświadczenia księcia a następnie Lucjana i Gastona, a będziem mieli słaby obraz sobotniego przedstawienia, w którém publiczność nasza nie obdarzona widocznie intuicją nie dość liczny przyjęła udział.

Wśród ogólnéj harmonji artystów występujących w Filibercie, dysonansem nam była Margrabina, w niczém margrabin nie przypominająca; p. Wesołowska nie powinnaby brać nieodpowiednich dla siebie ról salonowych, zwłaszcza gdy w innych może z powodzeniem występować. Podczas sobotniego przedstawienia odznaczającego się taką grą staranną tém więcéj musieliśmy żałować p. Aszpergerowéj, któréj dotąd nikt nam zastąpić nie może.

Oprócz Filiberty mieliśmy na naszéj scenie: Pana Geldkłaba Fredry, Ofiary tłomaczone z angielskiego przez hr. Al. Przeździeckiego, która w oryginale może być komedją, dla naszego społeczeństwa jednak zbyt jaskrawa, zdawała się raczéj zakrawać na karykaturę i Ciężką próbę, w któréj Poznań widział już i Rapackiego i Rychtera. Brak miejsca zwalnia nas od rozbioru sztuk a nim kompetentniejsze pióro podejmie tę rubrykę naszego pisma, wstrzymujemy się od szczegółowego gry artystów rozbioru.

X. X.

Przedpłaciciele
na książkę pamiątkową naszego wydawnictwa.

4. Hrabia Ludwik de Lavaux z Krakowa.
5. Pan Gruszczyński z Poznania.

Na konkurs dramatyczny

złożył składkę w ilości 60 centów p. Wincenty Wdowiszewski z Ustrzyków w Galicji.

Skrzynka do listów.

Panu Wacławowi K... w Obertynie: Za nadesłaniem 1 złr. 40 cent. odbierze Pan 15 pierwszych numerów naszego Tygodnika. Przedpłata na dzieło pamiątkowe wynosi 3 złr. 35 cent. wal. austr. Najpewniejszym sposobem przesyłki jest droga pocztowa. Nadesłane przewyżki zapisujemy na kwartał przyszły.

Panu Gutowskiemu w K...: Za książkę i portorium policzono 55 centów; — z przesyłki więc pańskiéj zostaje do dalszéj Jego dyspozycji 25 centów.

P. N... R... we Lwowie: Wybierzemy.

P. Herm... St... w G... pod X.: Stosownie do życzenia wysłaliśmy dwa numera naszego Tygodnika.

P. L... L... w Krakowie: Nadesłana przedpłata wystarczy do 1go lipca 1872 r.

P. C... K... w Ismaïlji: Wysłaliśmy osobny list z szczegółową odpowiedzią.

Majorowi P... Cz...: Za nadesłane życzenia serdeczne Bóg zapłać!

P. K... C... w Gnieźnie: Po odebraniu pracy Jego orzeczemy, czy w Tygodniku zamieszczoną być może; — nadesłane nam Nóty odkładamy tymczasem „ad meliora tempora."

P. Janowi Cz... z K...: Odebrawszy list Jego po wysłaniu Nr. 41, nie mogliśmy zmienić adresu.

P. Jul... B... we Lwowie: Ile razy zamieścić pańskie ogłoszenie?

P. J... Gl... w Toruniu: Wysłaliśmy dziewięć zeszytów dla Kółka; — drugą część listu pańskiego wręczyliśmy komu należy.

PO NADZWYCZAJ TANICH CENACH

nabyć można za pośrednictwem redakcji Tygodnika Wielkopolskiego następujące dzieła nowe i antykwarskie:

W. W.: Obrazek oderwany, 1857. Kraków. 5 sbr.
E. Wagner's Sämmtliche Werke, Ausgabe letzterer Hand besorgt von Fr. Mosengeil, 1852, Leipzig, w dwunastu tomach z portretem autora. 2 Tal.
Wczoraj, powieść polska, 1849, Leszno. 15 sbr.
Weteran poznański, Nr. IV, rok 1825. 5 „
Wieczory pod Lipą czyli Historya Narodu polskiego, opowiadana przez Grzegorza z pod Racławic, — wydanie znacznie powiększone i 45 rycinami ozdobione, 1868, Kraków. 1 Tal.
Wielogłowski Walery: Obrazek wiejskich rozkoszy. — Żniwo dworskie, 1857, Kraków. 5 sbr.
— — Kucharki, obrazek z obyczajów domownictwa miejskiego, 1858, Kraków. 5 „
— — Niewiasta, 1860, Kraków. 10 „
— — Święty Izydor Oracz za wzór życia rólniczego podany, 1863, Kraków. 8 „
— — Obrazki z obyczajów ludu wiejskiego, — sześć obrazków razem zebranych: Leniwy Bartek, Kuba Jarmarczny, Franek pijanica, Wsiowi złodzieje, Grzeczni rodzice i Występne dzieci i Narada gromadzka, 1857, Kraków. 20 „
— — Żywot Najświętszéj Panny, matki Zbawiciela, 1867. Kraków. 12½ „
— — Jarmark w Dąbrowéj w trzech obrazkach, 1858, Kraków. 10 „
— — Podróż po szerokim świecie czyli jak jest gdzieindziéj, a jak u nas? — dla ludu wiejskiego, 1865, Kraków. 6 „
— — Komornica czyli Tajemnica Życia wiejskiego, 1862, Kraków. 20 „
— — Podróż do Rzymu i Paryża, odbyta w r. 1861 przez Feliksa Borunia, włościanina wsi Kaszowa, spisana za opowiadaniem pielgrzyma, 1863, Kraków. 6 „
Wielogłowski Walery: Medycyna wiejska, obrazek z obyczajów ludu wiejskiego, 1868, Kraków. 5 sbr.
— — Pielgrzymka do ziemi świętéj odbyta w r. 1863 przez Feliksa Borunia, włościaninä z Kaszowa, spisana za opowiadaniem pielgrzyma, 1863, Kraków. 6 „
Wilkońska Paulina z L. Pan Wojski, bratni obrazek do Pani podkomorzyny, powieść, 1858, Poznań. 20 „
Wiwia Perpetua czyli Zastęp bohaterów chrześciańskich, obraz z III wieku, przez autorkę: Ćwiczenia duchowne św. Ignacego, Głos duszy, Pokój Wam i wielu innych dzieł treści religijnéj, 1868, Kraków. 1 Tal. 10
Wołoski Ludwik: Praca dzieci po rękodzielniach, przełożył z francuskiego L. Tołoczko, 1869, Lwów. 2 sbr.
Wyszkowskiego Michała poezye, — wydanie pośmiertne z autografem i portretem autora, 1850, Warszawa. 20 „
Z . . . S . . . : Wspomnienia z przejażdżki po kraju, napisane dla młodych czytelników, — tom pierwszy, 1857, Warszawa. 2½ „
Z ubiegłych Dni, — poezje, 1868, Poznań. 10 „
Zabawy świąteczne dla Ludu, 1851, Lwów. 5 „
Zaborowski Juljan: Wycieczka na Księżyc czyli zbiór najważniejszych wiadomości o najbliższym sąsiedzie niebieskim wedle obecnego stanu umiejętności we formie popularnéj pogawędki, 1858, Poznań. 10 „
Zachariasiewicz Jan: Marek Poraj, powieść z czasów pierwszego rozbioru Rzeczypospolitéj polskiéj, 1867, Kraków. 20 „
Zasady Wymowy Świętéj, objaśnione przykładami wyczerpnionemi osobliwie z Pisma świętego, z Ojców świętych, i z innych najsławniejszych Krasomowców chrześciańskich; Dzieło wydane w Paryżu 1788, a teraz na polski język przetłumaczone, 1824, Wilno, 6 „
Zmorski Roman: Lesław, szkic fantastyczny, 1870, Lwów. 4 „

OGŁOSZENIE.

Polecają się publiczności następujące książki, które nabywać można we wszystkich księgarniach polskich:

	tal.	sgr.
Mrówka, rocznik I. (1869) zawierający kilka obszernych powieści oraz prace pomniejsze blisko stu autorów polskich z illustracjami z 4 tal. na	1	15
Mrówka, rocznik II. (1870) odznaczający się nadzwyczaj ozdobném wydaniem, z wielką ilością illustracji zawiera kilka większych powieści oraz prace pomniejsze z 4 tal. na	2	
Dziennik literacki, rok 1870, cena zniżona z 8 talarów na	3	
Matejko, kaz. Skargi, duża litografja z 2 tal. na	1	
Bełcikowskiego, Hunyadi, dramat		12
Dąbrowski Jarosław (jenerał ostatniéj wojny). Krytyczny rys wojny austrjacko-pruskiéj i włoskiéj w 1866 r. z mappami i planami	1	15
T. T. Jeż. Opowiadanie Stasia, powieść		10
Komorowski Br. Rejtan, tragedja, cena zniżona		20
Libelt Karol. O kometach i gwiazdach spadających z portretem autora		12
Owce i Świnie, wiarogodna chińska historja przez jednego z Baranów		1
Wołody Skiba. Kręte drogi, powieść z portretem autora, wydanie ozdobne	1	20
— Na wędkę, powieść		10
— Wojak Janosz, przekład z węgierskiego		12
Sowiński Leonard. Słowo Bytu, zarys prawdy powszechnéj		9
— Fragment powieści, poemat		12
Szekspir. Król Lir, tragedja, przekład z angielskiego wierszem przez Adama Pługa		20
Szewczeńko. Najemnica, przekład z ruskiego wierszem przez Leonarda Sowińskiego z portretem autora		12
Tretiak Józef. Z pogańskich światów pieśń miłości.		12
— Królewska para, powieść	1	
Turski. Faworyt, komedyjka		5
— Zochna hrabianka, powieść		20
Wilkońska Paulina. Za posagiem, powieść		20

W Administracji „Mrówki" we Lwowie po cenie zniżonéj można jeszcze nabywać komplety **Bibljoteki Mrówki** t. j. wszystkie poniżéj wyszczególnione 30 dzieł za 5 tal. nadsyłając takowe wprost do Lwowa pod adresem: Administracja Mrówki we Lwowie, przyczém książki wysyłają się odwrotną pocztą, — lub można też książki nabywać pojedynczo we wszystkich księgarniach polskich po cenach następujących:

	sgr.
1) Woronicz. Sybilla, poemat i Hymn do Polski.	4
2) Syrokomla. Janko Cmentarnik, gawęda lud.	4
3) Kraszewski. Ostap Bondarczuk, powieść.	4
4) Słowacki. Kordjan, obraz dramatyczny	7
5) Krasiński. Przedświt, poemat	4
6) Pług Adam. Sroczka, obrazek zaściankowy	7
7) T. T. Jeż. Asan, powieść historyczna	12
8) Wołowski L. O pracy dzieci	2
9) Mazurkiewicz. Demokracja Polska	6
10) Goszczyński. Król zamczyska, powieść	7
11) Wołody Skiba. Kanarki, powieść	15
12) Słowacki. Mindowe, obraz historyczny	5
13) Syrokomla. Ulas, sielanka bojowa	4
14) Kochanowski. Pieśni, księg czworo	8
15) Kraszewski. Jaryna, powieść	11
16) Wernicki. O prześladowaniu kościoła	8
17) Nałęcz. Renegat, powieść	8
18) Puzynina. Jadwiga, dramat hist.	8
19) Syrokomla. Kęs chleba, gawęda	4
20) Sowa Antoni. Jordan, fautazja	9
21) Czajkowski. Wernyhora, powieść historyczna, 2 tomy	24
22) Pług Adam. Przyjaciele, bajka	7
23) Okólnik księdza Piotrowicza o gwałtach moskiewskich	3
24) Wołody Skiba. Kwiat z Sumatry, powieść	15
25) i 26) Słowacki. Ojciec zadżumionych. W Szwajcarji	3
27) Zmorski. Lesław, fantazja	4
28) Sawaszkiewicz. Porównanie wypraw na Moskwę Żółkiewskiego i Napoleona I.	6
29) Brodziński. Wiesław, sielanka	6
30) Zieliński. Kirgiz, powieść	6

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.